



MODIANO/SEMPÉ

Katarzyna





Katarzyna

MODIANO/SEMPÉ



KATARZYNA

Przełożyła
Regina Gręda

WYDAWNICTWO TENTEN

Tytuł oryginału:
CATHERINE CERTITUDE

Opracowanie graficzne
GRAŻYNA KILANOWICZ-BARECKA

Redakcja
STANISŁAWA LEWICKA, JERZY W. MARTIN

Korekta
BARBARA SAS-JAWORSKA

- © Editions Gallimard, 1988
pour le texte et les illustrations
- © Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „TENTEN”
ISBN 83-85477-09-8

W

Nowym Jorku pada dzisiaj śnieg, a ja patrzę przez okno mojego mieszkania przy 59 Ulicy na znajdujący się naprzeciwko budynek, gdzie mieści się szkoła baletowa, którą prowadzę. Za przeszkloną ścianą uczniowie w obcisłych trykotach przestali ćwiczyć *pointes* i *entrechats*. Moja córka, która pracuje jako moja asystentka, dla odprężenia pokazuje im krok taneczny do muzyki jazzowej.

Pójdę do nich za chwilę.

Wśród uczniów jest dziewczynka, która nosi okulary. Przed rozpoczęciem lekcji położyła je



na krześle, zupełnie jak ja to robiłam u Madame Dismajłowej, gdy byłam w jej wieku. Nie tańczy się w okularach. Pamiętam, że w czasach Madame Dismajłowej, w ciągu dnia ćwiczyłam chodzenie bez okularów. Kontury osób i przedmiotów traciły wtedy swą ostrość, wszystko stawało się rozmyte, nawet dźwięki były coraz bardziej wyciszone, wytłumione. Świat, gdy nań patrzyłam bez okularów, tracił swą kanciastość, stawał się tak miły i miękki jak wielka poduszka, do której przytulałam policzki i w końcu zasypiałam.

– O czym tak marzysz, Kasiu? – pytał mnie wtedy tata. – Powinnaś włożyć okulary.

Posłusznie wykonywałam jego polecenie i wszystko odzyskiwało na powrót swą zwykłą ostrość i wyrazistość. W okularach widziałam świat takim, jaki jest w rzeczywistości. Nie mogłam już marzyć.

Tutaj w Nowym Jorku przez kilka lat tańczyłam w zespole baletowym. Następnie z matką prowadziłam szkołę baletową. Później matka przeszła na emeryturę i pracowałam sama.

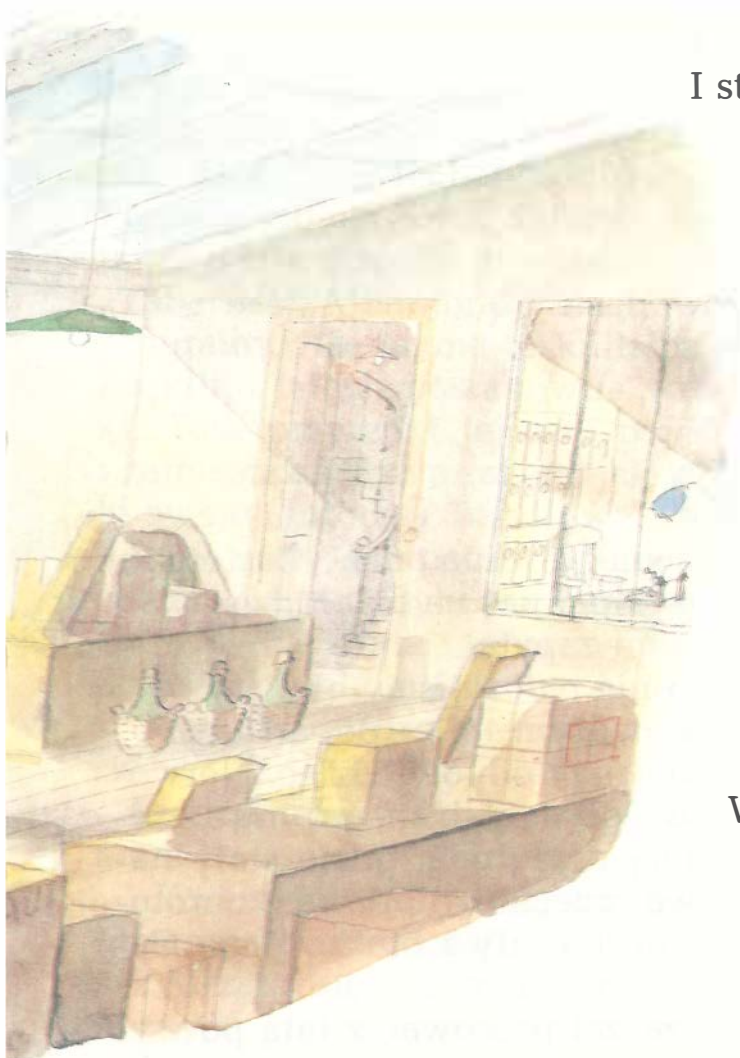
A teraz pracuję z moją córką. Mój ojciec też powinien wycofać się już z życia zawodowego, lecz wciąż nie może zdecydować się na ten krok. A tak naprawdę, to z czego właściwie miałby się wycofać? Nigdy nie dowiedziałam się, jaki właściwie tata ma zawód. Oboje z mamą mieszkają teraz w niewielkim mieszkanku w Greenwich Village. W sumie, cóż można o nas powiedzieć? Nowojorczycy nie wyróżniają się niczym szczególnym. Jedyna rzecz nieco dziwna to to, że zanim przybyliśmy do Ameryki, moje dzieciństwo upłynęło w Paryżu, w X dzielnicy. Prawie trzydzieści lat temu.

Mieszkaliliśmy nad czymś w rodzaju magazynu, w którym co wieczór o siódmej tata opuszczał żelazną roletę. Przypominało to pomieszczenie prowincjonalnego dworca, służące do przechowywania lub wysyłania bagaży. Stały tam zawsze stosy skrzyń i paczek ułożonych jedne na drugich. I waga, której duża platforma na poziomie podłogi mogła unieść znaczne ciężary, gdyż jej skala wskazywała do trzystu kilogramów.

Nigdy niczego nie widziałam na tej wadze. Z wyjątkiem taty. W rzadkich chwilach, gdy pan Casterade, jego współnik, był nieobecny,

tata, trzymając ręce
w kieszeniach,
z pochyloną
głową,
w milczeniu
stał
nieruchomo
na platformie
wagi.
W zamyśleniu
wpatrywał się
w skalę, której
wskazówka
pokazywała
– jak pamiętam
– sześćdziesiąt
siedem kilo.
Czasami mówił
do mnie:
– Chodź tu, Kasiu,
dobrze





I stawałam koło niego
na wadze.
Staliśmy tam tak
oboje, tata
trzymał dłonie
na moich ramio-
nach. Nie ru-
szaliśmy się.
Wyglądaliśmy,
jak gdybyśmy
pozowali przed
obiektywem
jakiegoś
fotografa.
Ja zdjęłam
okulary, tata
zdjął swoje.
Wokół nas wszystko
było łagodne
i zamglone.
Czas się zatrzymał.
Było nam dobrze.

Pewnego dnia pan Casterade, wspólnik taty, przyłapał nas na tej wadze.

– Co wy robicie? – zapytał.

Czar prysł. Tata i ja nałożyliśmy okulary.

– Jak pan widzi, ważymy się – odparł tata.

Nie raczył nawet nam odpowiedzieć. Nerwowym krokiem odszedł w głąb magazynu i zniknął za przeszkloną przegrodą, gdzie stały naprzeciw siebie dwa orzechowe biurka z obrotowymi krzesłami: biurko taty i biurko pana Casterade.

12 Pan Casterade zaczął pracować z tatą po wy-

jeździe mamy. Mama jest Amerykanką. Gdy miała dwadzieścia lat, należała do trupy tanceerek, które przyjechały do Paryża na tournée. Poznała mojego ojca. Pobrali się i mama nadal tańczyła w Paryżu w music-hallach: „Empire”, „Tabarin”, „Alhambra”... Zachowałam wszystkie programy. Ale mama tęskniła za swoim krajem. Po kilku latach postanowiła wrócić do Ameryki. Tata przyrzekł jej, że pojedziemy do niej i zamieszkamy tam razem, jak tylko uporządkuje swoje „interesy handlowe”. Przynajmniej takie powody mi podawał. Lecz później zrozumiałam, że inne były przyczyny wyjazdu mamy.

Co tydzień tata i ja otrzymywaliśmy – każde z nas oddzielnie – list z Ameryki w kopercie z obwódką w drobne czerwono-niebieskie paski.

List od mamy kończył się zawsze takim zdaniem:

„Katarzyno, całuję Cię bardzo mocno. Pamiętaj o Tobie mama.”

Zdarzało się, że mama robiła błąd ortograficzny.

Gdy tata mówił o swoim wspólniku, Raymondzie Casterade, nazywał go „Nudziarzem”.

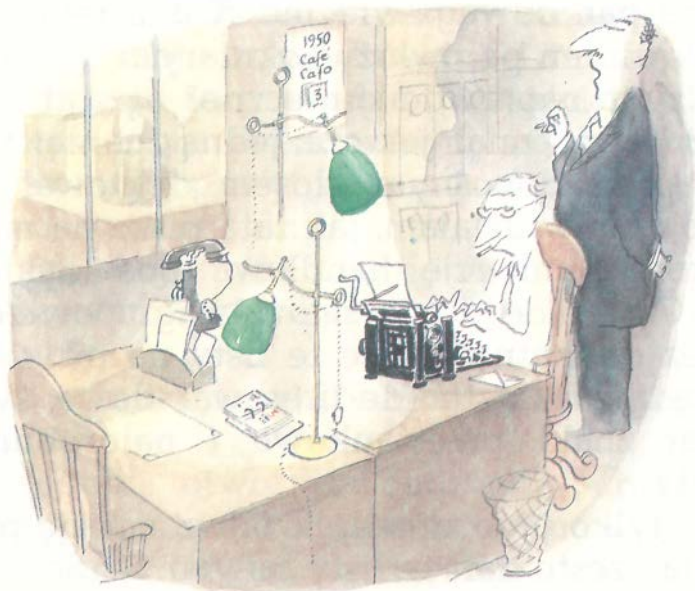
– Kasiu, nie mogę przyjść po ciebie do szkoły dziś po południu... Cały wieczór muszę pracować z „Nudziarzem”.

Pan Casterade był ciemnowłosym mężczyzną o czarnych oczach i bardzo długim tułowiu. Ten długi i sztywny tors odwracał uwagę od ruchu jego nóg i zdawało się, że sunie na wrotkach czy też nawet na łyżwach.

Dowiedziałam się później, że tata zatrudnił go najpierw jako sekretarza. Potrzebował ko-

gość, kto potrafi pisać poprawnie, bez błędów ortograficznych, a pan Casterade w młodości zdobył dyplom ukończenia studiów literaturoznawczych. A później „Nudziarz” został jego współnikiem.

Przy lada okazji wszystkim prawił morały.



Lubił też donosić o nieszczęściach. Rano zasiadał za swoim biurkiem i powoli rozkładał gazetę. Tata siedział naprzeciw niego przy drugim biurku i zdejmował okulary. Wtedy pan Casterade ze swoim akcentem z południa Francji czytał artykuły o katastrofach i morderstwach.

– Georges, pan mnie nie słucha – mawiał pan Casterade do taty. – Buja pan w obłokach... Nie ma pan odwagi widzieć świata takim, jaki jest. Powinien pan włożyć okulary...

– Czy to naprawdę konieczne? – pytał tata.

„Nudziarz” miał jeszcze jedną manię: wypinając pierś donośnym głosem dyktował listy. Ileż to razy widziałam, jak tata pisze na maszynie korespondencję handlową pod dyktando pana Casterade i nie ma odwagi powiedzieć – przez delikatność – że te listy na nic się nie zdadzą... Pan Casterade literował słowa, sygnalizował znaki przestankowe i najdrobniejsze akcenty.

Gdy tylko jego współnik odwracał się plecami, tata często darł te listy.

Mnie też „Nudziarz” chciał dyktować moje wypracowania i musiałam populiźnie mu na to pozwalać. Czasami trafiała mi się jakaś dobra ocena, ale na ogół nauczyciel pisał na mojej pracy „nie na temat”.

Wtedy tata mówił:

– Jeśli czujesz, że to „nie na temat”, podrzyj wypracowanie, które ci dyktuje. I sama napisz je od nowa.

Tata przedrzeźniał „Nudziarza” pod jego nieobecność:

– Średnik, otworzyć cudzysłów, przecinek, dwukropek, otworzyć nawias, od nowego wiersza, zamknąć nawias i cudzysłów...

A ja pękałam ze śmiechu, bo tata naśladował południowy akcent pana Casterade.

– Nieco powagi, moja panno – mówił tata.
– Proszę pamiętać o dwóch kropkach nad u...
I proszę nałożyć okulary na nos, żeby widzieć świat takim, jaki jest...



Pewnego popołudnia, gdy wróciłam ze szkoły, pan Casterade zażądał, bym mu pokazała mój dzienniczek. Sprawdzał go przygryzając ustnik cygarniczki. Wbił we mnie spojrzenie swych czarnych oczu:

– Droga panno – rzekł – bardzo się zawiodłem. Spodziewałem się po tobie lepszych stopni, zwłaszcza z ortografii... Oglądając twój dzienniczek, stwierdziłem jedynie, że...

Lecz ja zdjęłam okulary i już go nie słyszałam.

– Niech pan będzie cicho, Casterade – powiedział tata. – Zaczyna mnie pan męczyć. Niech pan zostawi to dziecko w spokoju.

– Proszę bardzo.

Pan Casterade wstał i sunął do drzwi biura, wypinając pierś na znak pogardy.

Wyprostowany, bardzo sztywny, bardzo godny zniknął za drzwiami na swych niewidzialnych wrotkach, a tata i ja popatrzyliśmy na siebie znad okularów.

Później, już w Ameryce, magazyn przy ulicy d'Hauteville i pan Casterade wydawali nam się tak odlegli, że w końcu zaczęliśmy się zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek istnieli. Pewnego wieczoru podczas spaceru w Central Parku spytałam tatę, dlaczego pozwolił, by pan Casterade odgrywał tak wielką rolę w jego życiu zawodowym i w naszym życiu rodzinnym, do tego stopnia, że tata pozwalał mu dyktować swoje listy, wysłuchiwał pouczeń i nie odważył się mu przerwać.

– Nie mogłem inaczej postępować – wyznał mi tata. – Casterade wyciągnął mnie kiedyś z niezłych opałów.

20 Nigdy nie zechciał wyjawić mi więcej szcze-

gółów. Chociaż pewnego razu, gdy pan Casterade był bardzo rozeźlony, słyszałam, jak mówił do taty:

– Powinien pan pamiętać, Georges, że prawdziwi przyjaciele to ci, którzy wyrwali pana ze szponów sprawiedliwości.

Kiedy tata poznał Casterade'a, ten porzucił właśnie posadę nauczyciela francuskiego w jakiejś szkole średniej na przedmieściu. Wykorzystał szacunek, jakim tata darzy osoby, które piszą książki: pan Casterade opublikował niegdyś kilka tomików wierszy. Mam tutaj, w bibliotece mojego nowojorskiego mieszkania, jedno z tych dzieł, które zapewne mój ojciec wsunął do swojej walizki, gdy opuszczaliśmy Francję, żeby zachować ślad przeszłości. Książka nosi tytuł *Kantyleny* i została wydana nakładem własnym autora, nr 15, rue de l'Aqueduc, Paris Xe. Na odwrocie tomu można przeczytać notkę biograficzną: „Raymond Casterade – laureat konkursów literackich: Jeux Floraux w Langwedocji, Mussetistes w Bordeaux i Federacji Literackiej Gaskonia-Afryka Północna”.

Na fasadzie magazynu – nad wielką matową szybą, która poskramiała ciekawość przechodniów z ulicy d’Hauteville – widniał granatowy napis: „CASTERADE & CERTITUDE – Eksp.-Tran.”. Certitude to nasze nazwisko, moje i taty. Tutaj w Ameryce wymawiają je z trudem Tcher-ti-tiou-de, ale we Francji brzmiało to normalnie i z francuska. Później tata wytłumaczył mi, że nasze właściwe nazwisko było o wiele bardziej skomplikowane. Coś jakby: *Tscerstistscekvadze* czy może *Chertchetitudjvili*. Pewnego letniego popołudnia, na krót-

ko przed wojną, gdy tata był jeszcze młody, potrzebował wyciągu z aktu urodzenia i udał się do merostwa IX dzielnicy w Paryżu, gdzie jego ojciec zarejestrował go pod nazwiskiem *Tscerstistscekvadze* czy *Chertchetitudjvili*. W pustym, słonecznym biurze urzędu stanu cywilnego siedział samotnie urzędnik.

W chwili, gdy miał zapisać na karcie jakże skomplikowane nazwisko mojego ojca, westchnął głęboko. Machinalnym gestem odpędził rój niewidzialnych pszczoł, komarów czy świerszczy, jak gdyby te *Czer*, te *Tser*, te *Tits* i te *Tce* w nazwisku mojego ojca przypominały mu brzęczenie setek owadów krążących wokół jego głowy.

– Ma pan takie nazwisko, że aż się człowiekowi gorąco robi – powiedział do taty, ocierając pot z czoła. – A gdyby tak je uprościć? Podobna się panu... Certitude?

– Jak pan sobie życzy – odparł tata.

– No to niech będzie Certitude.

Magazyn przy ulicy d'Hauteville miał więc szyld: „CASTERADE & CERTITUDE – Eksp.-

Tran." Co znaczyły „Eksp.-Tran.”? Mój ojciec zawsze zachowuje dyskrecję na ten temat i udziela wymijających odpowiedzi.

Ekspedycja? Eksport? Tranzyt? Transport?

Pracowano tam nocą. Często budziły mnie przyjeżdżające i wyjeżdżające ciężarówki, które stały z włączonymi silnikami. Z okna mojego pokoju widziałam, jak jacyś ludzie wchodzili i wychodzili z magazynu niosąc skrzynie. Stojąc na środku chodnika tata i pan Casterade kierowali tymi nocnymi pracami przeładunkowymi. Tata trzymał w ręku otwartą księgę ewidencyjną i w miarę jak wyładowywano skrzynie z jednej ciężarówki lub załadowywano inną, dokonywał zapisów. Wśród starych papierów odnalazłam jedną ze stron tej księgi:

Godzina	Wysyłka	Godzina	Dostawa
10.30	zespół radiowy & strażak	10.15	obawie wejściowe
11	Kasule, wstęgi & szelby	11.15	prochowie 30 butelek ramu
11.30	prądnicę, obrotowa kotłownia		
0.15	kable i marmoty	1.30	prostarki, silniki elektryczne

Słowo „chłodziarki” zostało przekreślone i zastąpione przez pana Casterade słowem „łodówki”, a na dole strony poznaję nieczytelny podpis taty.

Chodziłam do szkoły przy ulicy des Petits-Hôtels, blisko naszego domu. Tata odpro-
wadzał mnie po podniesieniu żelaznej rolety
magazynu.

Codziennie rano po drodze do szkoły mijaliś-
my pana Casterade, który szedł w dół ulicą
d’Hauteville do biura „CASTERADE & CERTI-
TUDE – Eksp.-Tran.”.

– Do zobaczenia niebawem, Raymondzie
– zwracał się do niego mój ojciec.

– Tymczasem, Georges – odpowiadał Caste-
rade.

Jego długi korpus sunął coraz szybciej, po-
nieważ ulica d’Hauteville biegnie w dół.

Dochodziliśmy do szkoły. Ojciec poklepywał mnie po ramieniu.

– Powodzenia, Kasiu... I wiedz, że jeśli nadal będziesz robić błędy ortograficzne jak twój tata, to nie ma to żadnego znaczenia...

Teraz rozumiem, że nie mówił tego, jako ojciec, który nie troszczy się o wykształcenie swej córki. Lecz dlatego, że wiedział, jak mnie przerażał pan Casterade ze swoimi pouczeniami i lekcjami ortografii, tata natomiast, wprost przeciwnie, starał się mnie uspokoić.

Dwa razy w tygodniu zostawałam w stołówce szkolnej, zaś w inne dni chodziliśmy z tatą na obiad do „Pikardii”, restauracji w naszej

dzielnicy, przy ulicy Chabrol. Pan Casterade też tam jadał obiady. Wypatrywaliśmy go, stojąc za rogiem ulicy i odczekiwaliśmy jakiegoś dziesięć minut po jego wejściu do restauracji, żebyśmy nie musieli siedzieć z nim przy jednym stoliku. Tata chciał być tylko ze mną i bał się, że Casterade będzie znowu głądził o katastrofach, moralności i ortografii. Myślę, że tata umówił się jakoś z właścicielem restauracji, żeby nas sadzał jak najdalej od stolika Casterade'a.

U progu „Pikardii” tata mówił mi:

– Kasiu, musimy zdjąć okulary... Będziemy mieli usprawiedliwienie, że nie widzimy Casterade'a...

Często ci, z którymi tata prowadził interesy, przychodzili spotkać się z nim pod koniec posiłku i przysiadali się do naszego stolika.

Przysłuchiwałam się tym rozmowom, ale nie zawsze rozumiałam, o czym mówili. Byli to ciemnowłosi, wąsaci mężczyźni w starych płaszczach. Był też wśród nich pewien rudzielec w okularach w złotej oprawie, który słuchał taty z otwartymi ustami.

Pamiętam, że nazywał się
Chevreau.

Pewnego dnia
tata spytał go:

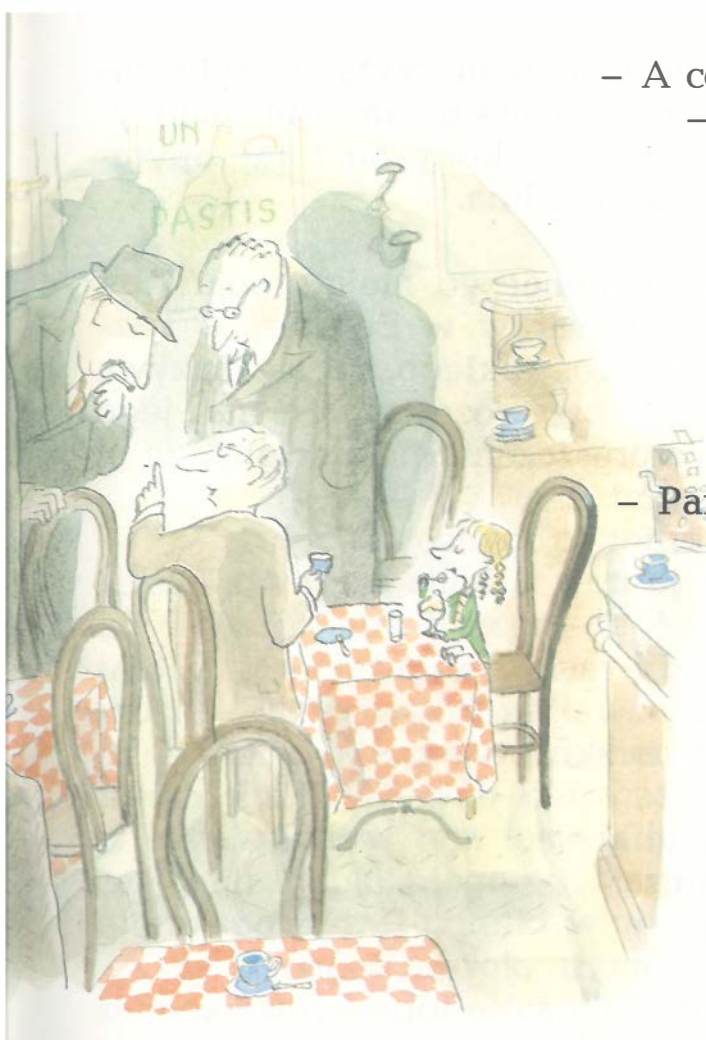
– No to jak,
Chevreau,
interesuje pana
pięćdziesiąt
sztuk foteli
samolotowych
z Constellation?

Chevreau
wybałuszył oczy.

– Jakich foteli?
– Z Constellation.

Wie pan
przecież, to taki
samolot...





- A co ja bym z tym robił?
- No cóż, mógłby pan na przykład wykorzystać je jako fotele kinowe.

Chevreau, jak zwykle, patrzył na tatę z rozdziawioną z podziwu gębą.

- Pan to ma wyobraźnię...

Zadziwia mnie pan, Certitude...

No to zgoda... Biorę je... Jestem naprawdę olśniony...

W oczach pana Chevreau czytałam tyle podziwu dla taty, że i ja sama byłam nim zachwycona. Jaki też zawód wykonywał tata? Spytałam go któregoś popołudnia.

– Jakby ci to wytłumaczyć, moja droga? Aby ułatwić przepływ towarów w Europie, w każdym kraju istnieje coś takiego, co się nazywa przedsiębiorstwem przewozowym, a na jego czele... Cóż, dla uproszczenia powiedzmy, że ci ludzie przysyłają mi skrzynie i paczki...

Ja przechowuję je w magazynie... Wysyłam je do innych ludzi... Otrzymuję inne paczki... i tak dalej...

Głęboko zaciągnął się dymem z papierosa.

– Powiedzmy, że zajmuję się przesyłkami.



Późnym popołudniem, poczynając od kwietnia, chodził ze mną na skwer przed kościołem Saint-Vincent-de-Paul. Spotykałam tam kilka koleżanek z klasy i bawiłyśmy się do szóstej. Tata siedział na ławce i pilnował mnie dyskretnie, a tymczasem ciemnowłosi, wąsaci mężczyźni w starych płaszczach – ci sami co w restauracji, w tym także Chevreau – kolejno zasiadali obok niego na ławce. Mówili coś, a tata sporządzał notatki w notesie.

Gdy zapadał zmrok, trzymając się za ręce schodziliśmy w dół ulicą d’Hauteville.

Tata mówił mi:

– Casterade będzie w złym humorze. On nie może pojąć, dlaczego umawiam się na skwerze. To głupie... Przy tak pięknej pogodzie lepiej się pracuje na powietrzu...

W głębi magazynu, siedząc za biurkiem, Casterade czekał na tatę. Tak, zazwyczaj był w bardzo złym humorze.

– Bardzo się pan napracował, Raymondzie?
– pytał tata.

– Ktoś tu przecież musi pracować.

Wypinał pierś.

– A panienka – zwracał się do mnie jeszcze bardziej oschłym tonem – jakich to poetów francuskich przerabiała po południu w szkole?

– Victora Hugo i Verlaine'a.

– Wciąż to samo. Przecież na nich świat się nie kończy... Poezja to niewyczerpana skarbnica... Na przykład...

W takiej chwili nie należało mu się sprzeciwiać.

Tata siadał przy swoim biurku. A ja dalej sta-

łam z założonymi rękami. Z wewnętrznej kieszeni marynarki pan Casterade wyjmował jeden z tomików poezji swego autorstwa.

– Przedstawię wam przykład francuskiego metrum... Tego prawdziwego.

I monotonnym głosem czytał nam swoje wiersze, dłonią wybijając rytm. Pamiętam jeszcze początek jednego z tych wierszy, darzonych przezeń wyjątkową czułością:

*O, Betty, której szyja jest jak z alabastru,
I ty, równie mi droga, luba Marie-Josée,
Pomnijcie zaklęć słowa i cudowny nastrój
W te jesienne wieczory w Castelnaudary...**

Siadałam na kolanach taty i w końcu zasypiałam. Po długim czasie tata mnie budził. Zapadała już noc.

– Poszedł sobie wreszcie – mówił tata znużonym głosem. – Możesz znowu włożyć okulary...

I pomagałam tacie opuścić żelazną roletę magazynu.

* przekład Jerzy Martin



HOTEL
GLORIA

EAU
ET
GAZ
A TOUS
LES
ETAGES

TEL
GLORIA

VINO

CIRAGE
LION

NOIR

Salongo
Coiffure

CASTERADE & CERY

ST
AG

LE

Pe

to

LE

LE

Rankiem budził mnie tata. Wcześniej przygotowywał śniadanie, które czekało na stole w salonie-jadalni. Otwierał okiennice i widziałam jego plecy we framudze okna. Podziwiał krajobraz: dachy i w oddali przeszkloną konstrukcję Dworca Wschodniego. I wiążąc krawat mówił w zamyśleniu, a niekiedy bardzo zdecydowanym głosem:

– Świat nie jest taki zły.



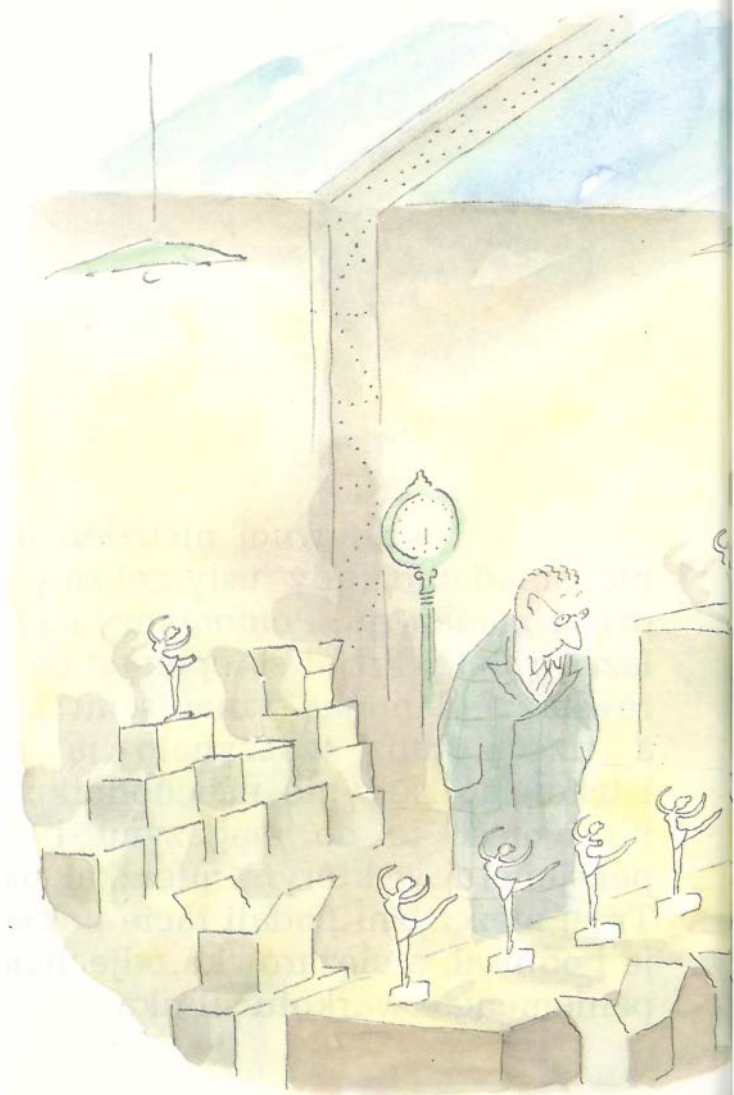
Podczas codziennego golenia obowiązywał nas pewien rytuał: tata z pędzlem w dłoni gonił mnie po całym mieszkaniu i usiłował umazać mi twarz pianą.

Potem musieliśmy starannie wycierać okulary, bo ich szkła były pochłapane mydłem do golenia.





Pewnej niedzieli jedliśmy właśnie śniadanie, gdy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi magazynu. Pomogłam tacie podnieść żelazną roletę. Przed sklepem stała wielka ciężarówka z plandeką i napisami po hiszpańsku, a trzech ludzi zaczynało ją rozładowywać i ustawiać skrzynie na chodniku. Tata polecił im wnieść je do magazynu i zadzwonił do pensjonatu, w którym mieszkał pan Casterade. Trzej mężczyźni podali tacie pokwitowanie. On je podpisał, a ciężarówka odjechała przy akompaniamencie warkotu silnika.





Tata
i pan Casterade
otworzyli skrzynie.
Zawierały one figurki
tancerek. W niektórych
skrzyniach figurki były
potłuczone, więc poukłada-
liśmy ich odłamki na półkach

w magazynie. Następnie tata pozamykał pozostałe skrzynie i zatelefonował. Rozmawiał w jakimś obcym języku. A gdy odłożył słuchawkę, pan Casterade powiedział mu:

– Niech pan uważa, Georges: pakuje się pan w niebezpieczną, ryzykowną przygodę... Pokwitowanie, jakie pan podpisał, nie będzie honorowane przez francuski urząd celny... Niech pan sobie przypomni tę sprawę tysiąca par austriackich butów narciarskich, które posłał pan do odprawy celnej. Mało brakowało, a nieźle by się pan przejechał na tych butach... Gdyby nie ja, rzadką miałby pan teraz minę za kratkami...

Ale mój tata zdjął okulary i milczał. Wieczorem jakaś inna ciężarówka przyjechała zabrać dostawę skrzyń z tancerkami. Zostały nam tylko uszkodzone figurki. Co wieczór tata i ja bawiliśmy się w sklejanie kawałków i ustawialiśmy figurki na półkach. A potem podziwialiśmy te rzędy tancerek.

– Moja Kasienko – spytał mnie tata – czy i ty chciałabyś zostać tancerką? Jak mama?

Doskonale pamiętam moją pierwszą szkołę baletową. Tata znalazł ją w naszej dzielnicy, przy ulicy de Maubeuge. Nauczycielka, Madame Galina Dismajłowa, zwróciła się do mnie:

– Będziesz musiała tańczyć bez okularów.

Z początku zazdrościłam moim koleżankom, które nie nosiły okularów. Dla nich wszystko było proste. Lecz po namyśle doszłam do wniosku, że miałam nad nimi pewną przewagę: mogłam żyć w dwóch różnych światach zależnie od tego, czy nosiłam okulary czy też nie.

A świat
tańca nie był
rzeczywistym
życiem, lecz był
to świat, w którym zamiast
zwyczajnie chodzić tańczyło się
albo wykonywało *entrechats*.

Tak, świat z marzeń, taki nieostry i delikatny,
jak ten, który widziałam bez okularów.

Po pierwszej lekcji wyznałam tacie:

– Wcale mi nie przeszkadza, że tańczę
bez okularów.

Tata zdawał się zdziwiony zdecydowanym
tonem, jakim to powiedziałam.

– Gdybym dobrze widziała bez okularów,
tańczyłabym o wiele gorzej. To pewnego ro-
dzaju korzyść.





– Masz rację – powiedział tata.
– Czuję tak samo, gdy byłem młody... Gdy
nie włożysz okularów, ludzie będą widzieć
w twoim spojrzeniu jakąś mglistość i łagod-
ność...
To się nazywa urokiem...



Lekcje odbywały się w czwartki wieczorem i odprowadzał mnie na nie tata. Przez wielką, przeszkloną ścianę studia tańca widać było Dworzec Północny.

Matki uczennic siedziały na długiej ławce obitej czerwonym aksamitem. Tata, jedyny mężczyzna pośród wielu kobiet, siedział na końcu ławki, z dala od nich, i od czasu do czasu przez tę przeszkloną ścianę za jego plecami

spoglądał na Dworzec Północny, na światła na peronach, na pociągi odjeżdżające w dalekie strony – aż do Rosji, jak mi powiedział – do Rosji, która była ojczyzną naszej nauczycielki, Madame Dismajłowej.

Zachowała ona bardzo wyraźny rosyjski akcent. Mówiła mi:

– Catherrrine, Cerr-tchi-tchoude... *Fondou... Tendou... Pas de cheval... Atti-tou-de... Ouvrrez seconde... Ferrrmez cinquième... Pied dans la main... Etendez...* A teraz w drugą stronę.

Pewnego czwartkowego wieczoru nie zabrałam okularów po lekcji tańca, a ponieważ tata miał dużo pracy, sama po nie poszłam na ulicę de Maubeuge. Zapukałam do drzwi, ale nikt nie otwierał. Zadzwoiłam do dozorczyńni, która dała mi zapasowy klucz od studia. Gdy tam weszłam, nacisnęłam wyłącznik.

Światło, padające
od małej lampki
na fortepianie,
pozostawiało
obszary półcienia.
Dziwnie się
czułam, widząc
wielkie puste
studio, a w głębi
fortepian
i wolny taboret.
Moje okulary leżały
na ławeczce. Przez
oszkloną ścianę
padało ostre białe
światło
z peronów
Dworca
Północnego.





Wtedy
postanowiłam
zatańczyć
sama.
Wystarczyło
trochę
wyobraźni,
by w ciszy
usłyszeć
muzykę
fortepianu i głos
Madame
Dismajłowej:
– *Ouvrrez
seconde...
Ferrmez
cinquième...
Pied
dans la main...
Fondou...
Tendou... Pas de
cheval...*

A potem przestałam tańczyć i zapadła cisza. Nałożyłam okulary. Nim opuściłam studio, przez chwilę stałam przed wielką oszkloną ścianą i patrzyłam na perony Dworca Północnego.

Znalazłam fotografię z tamtych czasów. Zrobił ją Chevreau, ten rudzielec w okularach w złotej oprawie, który pracował z tatą. Było to w jakieś czwartkowe popołudnie przed wyjściem na lekcje tańca. Stoję przed sklepem pomiędzy tatą i panem Casterade, który tego dnia musiał być w dobrym nastroju, bo naśladowując mnie wykonywał taneczne pas.

Po prawej stronie zdjęcia widać kobietę, z którą łączyło mnie jakieś mgliste wspomnienie. Pewnego wieczoru była w biurze taty i słyszałam, jak powiedziała na odchodnym:

– Do zobaczenia niebawem, Georges.

Zapytałam tatę, kim ona właściwie była. Tata wydawał się dość zakłopotany.



– Och, to nikt szczególny... To jakaś stewardesa...

A dwadzieścia lat później, kiedy mu pokazałam tę fotografię i wskazałam kobietę obok nas, powtórzył wznosząc oczy ku niebu:

– Och... to jakaś stewardesa...

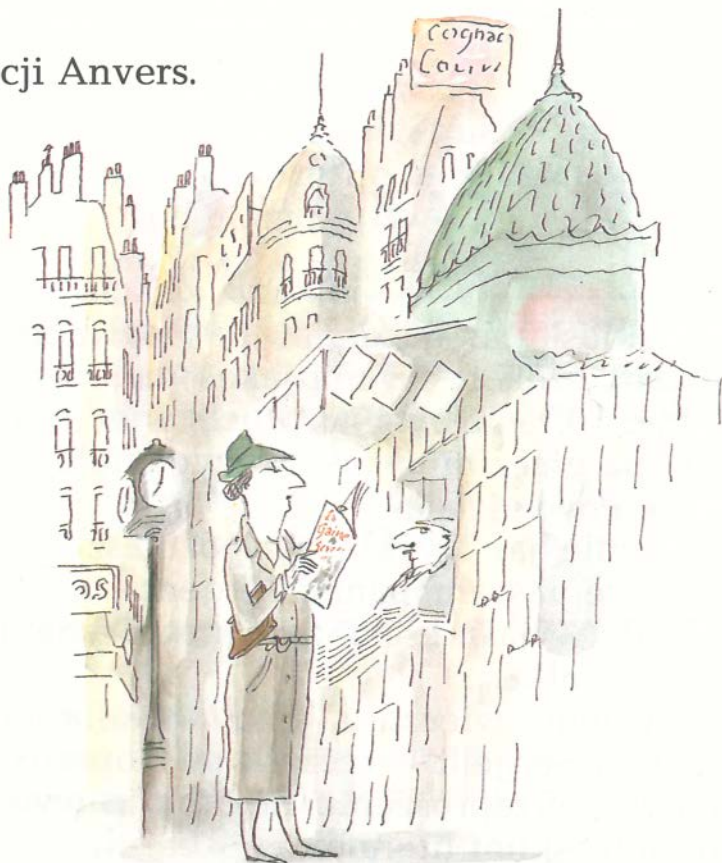


Moją
jedyną przyjaciółką
w szkole baletowej
była dziewczynka, która w każdy
czwartek przychodziła do Madame Dismajłowej sama, bez matki. Nawiązała ze mną rozmowę:

– Tobie to dobrze, że nosisz okulary. Zawsze chciałam nosić okulary... Dasz mi je przymierzyć?

Włożyła okulary i przeglądała się w wielkim lustrze, przed którym Madame Dismajłowa kazała nam korygować postawę.

Po lekcji prosiła tatę i mnie, żebyśmy ją
odprowadzili do najbliższej
stacji
metra
– do stacji Anvers.



W

pobliżu zejścia do metra przy kiosku z gazetami na bulwarze Rochecouart czekała na nią jakaś pani. Przeglądała pisma. Ubrana była w prochowiec, miała pantofle na płaskim obcasie i wyglądała na bardzo srogą. Powiedziała:

- Odile, jak zwykle się spóźniasz.
- Przepraszam, panno Sergent.

Odile wyjaśniła mi, że panna Sergent jest jej guwernantką.

Pewnego wieczoru, nim wsiadła do metra z panną Sergent, wręczyła mi kopertę. Znalazłam w niej zaproszenie, na którym wydrukowano niebieskimi literami:

*Pan Ralph-B. Ancorena z małżonką
mają zaszczyt zaprosić*

Georges'a i Katerynę Certitude

*na wiosenny koktajl
w piątek 22 kwietnia
w Neuilly, bulwar de la Saussaye
od godziny 17.00*

Prosimy o odpowiedź

Nazwisko moje i taty Odile własnoręcznie wpisała na zaproszeniu i dziwi mnie, że tata nie zrozumiał, że uczyniła to bez wiedzy swoich rodziców.

– Trzeba im natychmiast odpisać, że przyjmujemy ich zaproszenie – rzekł tata. – Piątek to już jutro...

Poprosił o radę pana Casterade, który powiedział:

– Podyktuję panu list...

Tata usiadł za biurkiem, przed swoją maszyną do pisania, a pan Casterade wyprostowawszy się, zaczął:

„Drodzy Przyjaciele,

Z wielką przyjemnością... córka moja i ja... przyjmujemy... wasze... jakże uprzejme... zaproszenie... Przybędziemy... jutro... na bulwar de la Saussaye... Oczekując spotkania, prosimy przyjąć zapewnienie o naszym najgłębszym szacunku.

Georges Certitude z córką.”

– Z córką? – spytał ze zdziwieniem tata.

– Z córką – powtórzył pan Casterade tonem nie znoszącym sprzeciwu. – To taka stara tradycyjna formuła.

– Muszą otrzymać ten list jeszcze dziś wieczorem – powiedział tata.

Telefonicznie poprosił pana Chevreau, żeby przyjechał do magazynu. Chodziło o pilną sprawę.

Chevreau stawiał się niezwłocznie.

– Czy mógłby pan natychmiast doręczyć ten list do Neuilly, na bulwar de la Saussaye? – zapytał tata.

- Natychmiast? – spytał Chevreau.
- I chciałbym też, żeby jutro zawiózł pan nas, mnie z córką, pod ten sam adres.
- Trochę mnie pan zaskoczył, Certitude.
- Niech pan posłucha, Chevreau – rzekł tata.
- Odstępuję panu cztery pierwsze rzędy siedzeń z Constellation za darmo. I co, wyświadczy mi pan tę przysługę?
- Jak pan sobie życzy – powiedział pan Chevreau zaskoczony.

Tata był przejęty i zarazem bardzo niecierpliwy przed udaniem się na wiosenny koktajl do rodziców Odile.

- To bardzo porządni ludzie, ci Ancorena – powtarzał mi tonem światowca, jakiego jeszcze u niego nie słyszałam.

Po obiedzie usiedliśmy na ławce przy skwerze Saint-Vincent-de-Paul i ojciec snuł plany na przyszłość.

- Wiesz, Kasienka... Niewiele czasem trzeba, by życie stało się przyjemniejsze... niewie-

le... To tylko kwestia środowiska, otoczenia...
Doprawdy, śpieszno mi poznać tych Ancorena...

Po długich wahaniach tata włożył brązowy garnitur w prążki. Najpierw przy mierzył niebieski, ale uznał, że jest za skromny na ten wiosenny koktajl. W rękę trzymał miękki niedzielny kapelusz. I rękawiczki. Pan Chevreau czekał na nas przed magazynem w swojej furgonetce.

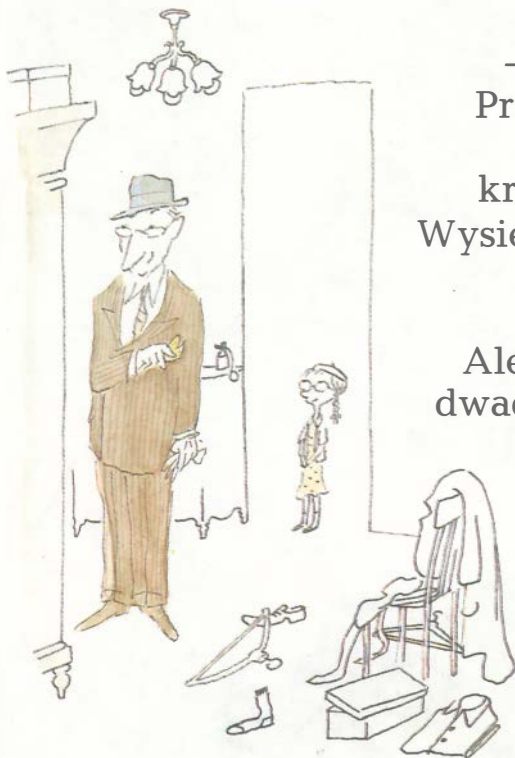
– Do Neuilly, Chevreau. Bulwar de la Sausseye dwadzieścia jeden.

Zabrzmiało to jak polecenie wydane kierowcy. Pan Chevreau wolno dojechał do Neuilly swoją rozklekotaną furgonetką.

Ledwo wjechaliśmy na bulwar de la Sausseye, tata powiedział:

– Może pan stanąć, Chevreau, i zostawić nas tutaj.

– Ależ nie... Pojadę pod numer dwadzieścia jeden.



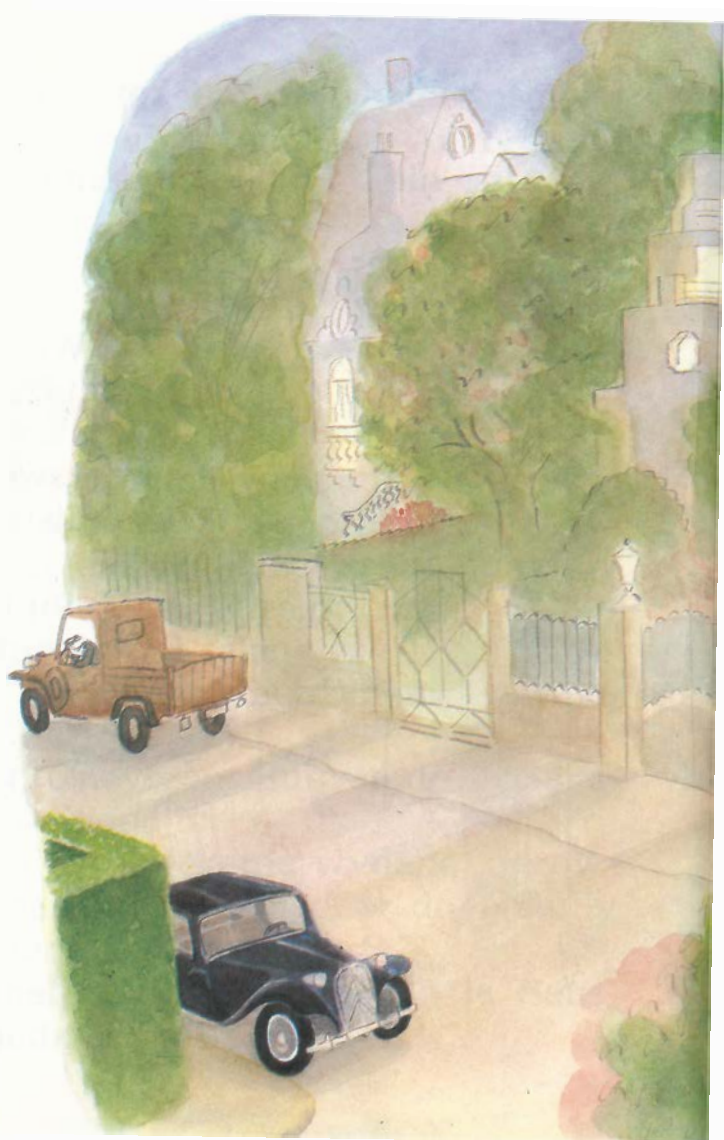
– Wolę wysiąść tutaj.
Przejdziemy się trochę.
Pan Chevreau nie
krył swego zdziwienia.
Wysiedliśmy z furgonetki.

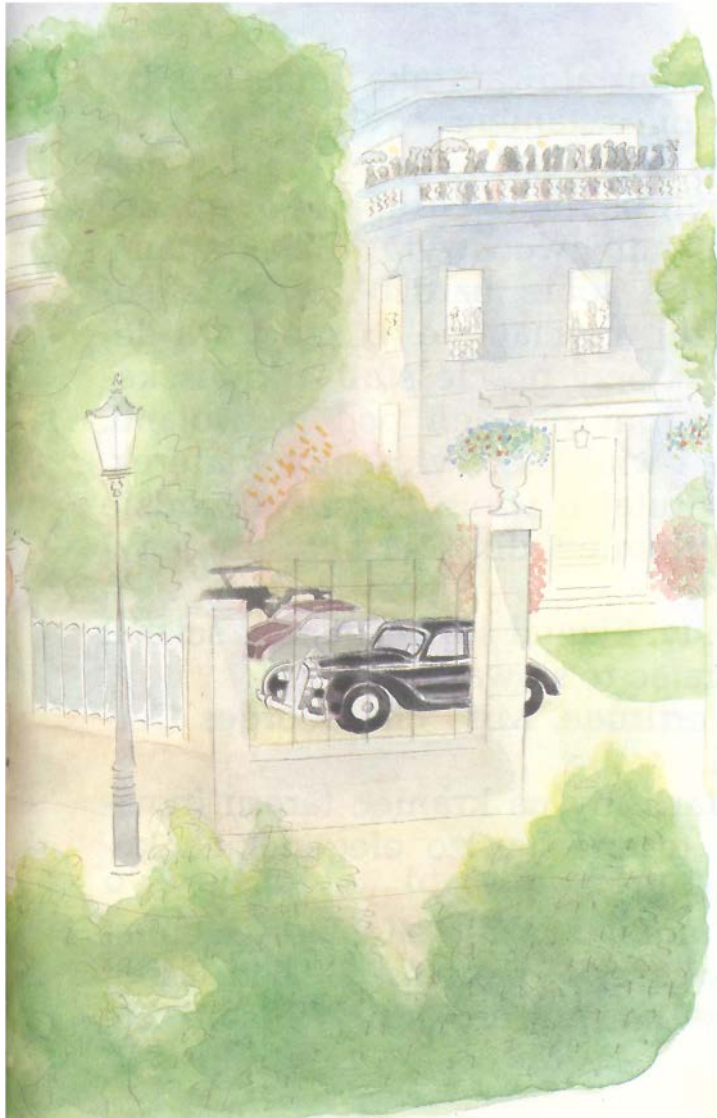
– Niech pan
tutaj na nas zaczeka.
Ale nie przed numerem
dwadzieścia jeden. Tutaj.
Rozumie pan?

To potrwa godzinę
lub dwie.

– Jak pan
sobie życzy,
Certitude
– powiedział
pan Chevreau.

Pieszko
dotarliśmy do celu.
Był to pałacyk,
przed którym
rozciągał się
krótko
przystrzyżony
trawnik.
Po lewej stronie,
na wysypanym
żwirze dziedzińcu
parkowały
luksusowe
samochody.





Odile czekała
na nas
przed wejściem
do domu.

– Bałam się,
że nie
przyjdziecie...
Wzięła mnie
za rękę.

– Naprawdę
bardzo się cieszę,
że przyszedłeś...
Poprowadziła
nas przez wielki
hol i pierwsza
wsiadła do windy
o ścianach obitych
czerwonym
aksamitem.

– Bardzo ładna
ta winda –
powiedział tata.

– Powinienem zainstalować taką samą między moim biurem a mieszkaniem.

Dotarliśmy na taras. Kelnerzy w białych marynarkach krążyli pomiędzy grupami gości, nosząc tace z sokami owocowymi i koktajlami. Kobiety miały na sobie bardzo zwiewne suknie, a mężczyźni trzymali się ze sportową dezynwolturą. Niektórzy goście stali z kieliszkami w dłoniach, inni siedzieli pod parasolami. Świeciło słońce i wiał lekki wiosenny wiaterek. Powietrze było tutaj o wiele lżejsze niż gdzie indziej. W tym tłumie Odile i ja byliśmy jedynymi dziećmi.

Tata, jak pijany, kłaniał się każdemu i ścisnął dłonie, powtarzając te słowa:

– Georges Certitude. Miło mi. Georges Certitude. Miło mi.

W końcu dotarliśmy na kraniec tarasu i znaleźliśmy się w grupie bardzo eleganckich kobiet i mężczyzn.

– Posłuchaj mnie uważnie, Kasiu – szepnął mi tata, miętosząc swój kapelusz. – Ten jasnowłosy szczupły mężczyzna, który opiera się



o balustradę, to wielki projektant mody...
A obok niego, ten pan w spodniach do konnej
jazdy, to gracz w polo z wyspy San Domingo...
Pewnie wraca z meczu w Bagatelle... A ta da-

ma, która wygląda tak dystyngowanie, była żoną Sachy Guitry... Spójrz... Ten pan, który z nią rozmawia, jest producentem znanego aperitif... Jego nazwisko widnieje wszędzie w metrze: DUBO... DUBON... DUBONNET...

Tata był coraz bardziej poruszony i mówił coraz szybciej.

– A ten ciemnowłosy pan, to księżę Ali Khan... A przynajmniej jest do niego podobny... To na pewno jest księżę Ali Khan, Odile?

– Mmm... tak, proszę pana – odpowiedziała Odile, jakby nie chciała mu się sprzeciwiać.

Tata próbował włączyć się do rozmów. Jego brązowy garnitur wyróżniał się na tle jasnych, letnich ubrań tych ludzi.

– Wczoraj wieczorem o mało się nie zabiłem w moim talbocie – powiedział do wielkiego krawca, wskazując bardzo luksusowy samochód stojący na dole. – A mimo wszystko zawsze będę miał słabość do talbotów.

– A ja do samochodów marki Delahaye – rzekł gracz w polo. – Podoba mi się w nich to, że nigdy nie można być pewnym hamulców.

Tata bardzo mocno ścisnął mnie za rękę. Domyśliłam się, że chce sobie dodać odwagi.

– Ja – rzekł głosem, któremu usilnie starał się nadać żartobliwe brzmienie – na zawsze pozostanę wierny samochodom z przednim napędem.

I wskazał citroëna zaparkowanego na dole na rogu ulicy.

Nikt nie zdawał się zwracać uwagi na stwierdzenia taty. Poza jednym z kelnerów w białej marynarce, którzy nosili tace.

– Ojej, ale właśnie ktoś panu kradnie samochód – powiedział do taty.

W rzeczy samej, samochód z przednim napędem ruszył z miejsca i znikł za rogiem ulicy.

– Doprawdy, myli się pan – odparł tata. – To kierowca jedzie po papierosy...

A następnie, zwracając się do grupy eleganckich osób, ciągnął z uporem.

– Zaletę pojazdów o przednim napędzie stanowi ich silnik – stwierdził.

Lecz ta wypowiedź, podobnie jak poprzednia, padła pośród ogólnej obojętności.

Tata wypił kilka koktajli, żeby się rozluźnić. Odile wciąż trzymała się z nami.

– Chciałbym, żebyś przedstawiła mi swoich rodziców, gdyż nie miałem jeszcze okazji ich poznać – powiedział tata.

Zaczerwieniła się.

– Wie pan – odrzekła – oni są bardzo zajęci.

Z zakłopotaną miną poprowadziła nas między grupami gości na drugi koniec tarasu.

Jasnowłosa kobietę w przeciwsłonecznych okularach i bladoniebieskiej sukni i mężczyznę o czarnych jedwabistych włosach otaczało kilka osób o równie uroczej powierzchowności, jaką odznaczali się zaproszeni, których nazwiska dopiero co wyjawiał mi tata. Cichym głosem Odile zwróciła się do jasnowłosej kobiety:

– Mamusiu, chciałabym ci przedstawić pana Certitude.

– Słucham? – powiedziała jej matka w roz-targnieniu.

– Miło mi panią poznać – rzekł tata skłoniwszy głowę.

Lecz ona ledwo go dostrzegła poprzez swoje ciemne okulary.

– Tatusiu... To pan Certitude – powiedziała Odile usiłując zwrócić na siebie uwagę ciemnowłosego mężczyzny... I Katarzyna Certitude... Wiesz... moja przyjaciółka z lekcji tańca...

– Miło mi, proszę pana – rzekł mój ojciec.

– Witam – powiedział ojciec Odile z nonszalancją podając mu rękę.

On i jego żona podjęli przerwana rozmowę z przyjaciółmi.

Mój ojciec stał nieruchomo nieco zdezorientowany, lecz nie dał się zbić z pantafelku.

– Przyjechaliśmy tutaj... samochodem... z przednim napędem – oświadczył.

Było to jedno z tych zdań, jakie się rzuca bez zastanowienia, a które stanowią jak gdyby wołanie o pomoc.

Pan Ancorena lekko uniósł brwi. Pani Ancorena skryta za swoimi przeciwsłonecznymi okularami niczego nie słyszała.



Odile chciała pokazać mi swój pokój i kiedy wróciliśmy na taras mój ojciec rozmawiał z korpulentnym, wąsatym jegomościem. Obaj mówili jakimś tajemniczym językiem, którego nie rozumiałam. Później mężczyzna oddalił się, obracając palcem wskazującym wyimaginowaną tarczę i przykładając dłoń do ucha – gest ten miał oznaczać: „zdzwonimy się”.

– Kim jest ten pan? – spytałam tatę.

– To ktoś bardzo ważny, kto będzie mógł mi pomóc.

Tata i ja znaleźliśmy się na zewnątrz. Popatrzył na furgonetkę stojącą tam, u wylotu bul-

waru. Zza opuszczonej szyby drzwiczek pan Chevreau wymachiwał do nas rękami. Tata odwrócił się i ukradkowym spojrzeniem obrzucił taras pałacyku, skąd dobiegały odgłosy rozmów i śmiech.

– Trzeba było grać ostro – rzekł tata.

Poszliśmy w kierunku furgonetki. Dopędziła nas Odile:

– Dlaczego wyszliście bez pożegnania?

Uśmiechała się nieśmiało, jakby przepraszała.

– Nie wynudziliście się za bardzo na tym koktajlu?

– Wprost przeciwnie – powiedział tata. – Zawarłem bardzo ważne dla mnie znajomości i bardzo ci dziękuję, że mnie zaprosiłaś. Moja mała Odile – jego głos zabrzmiał poważniej – sędzę, że dzięki tobie złapię wreszcie wiatr w żagle. Moje interesy rozwiną się dzięki temu koktajlowi...

Odile ściągnęła brwi, lecz wydawała się jeszcze bardziej zdziwiona, gdy zatrzymaliśmy się przed furgonetką.

– A pana samochód?

– Przed chwilą mi go skradziono – odparł tata bardzo pewny siebie.

Pochylił się do pana Chevreau, który czekał za kierownicą:

– Dziękuję, że przyjechałeś, dobry człowieku. Proszę nas zawieźć do najbliższego komisariatu, gdzie muszę zgłosić kradzież.

Odile słuchała taty z największą uwagą. Nasze spojrzenia się spotkały. Mocno się zaczerwieniła.



Przez następne tygodnie nie spotkałam mojej przyjaciółki na lekcjach tańca. Byłam bardzo smutna i spytałam Madame Dis-majłową, czy zna przyczyny zniknięcia Odile.

– Jedyne, co wiem – odpowiedziała mi – to to, że jej rodzice są mi winni za miesiąc lekcji...

Szukaliśmy z tatą jej numeru telefonu. W książce telefonicznej nie figurował ani jeden abonent o nazwisku Ancorena i nie było tam też domu numer 21 przy bulwarze de la Saus-saye. Po numerze 19 następował zaraz numer 23. Wtedy postanowiłam do niej napisać.

– W każdym razie – rzekł tata – liczę na Tabéliona, który poda mi ich numer telefonu. Nie smuć się, kochanie... W końcu dodzwonimy się kiedyś do Tabéliona... I odnajdziesz Odile.

Tabélion... Jeszcze jedno nazwisko, które

pobrzmiewa w mojej pamięci, a jego echo wywołuje emocje. Ów Tabélion musiał mocno działać ojcu na wyobraźnię: po trzydziestu latach przechowuje jeszcze w portfelu jego wizytówkę. Któregoś wieczoru pokazał mi ją. Kartonik nieco pożółkł:

René Tabélion
S.E.F.I.C.
1 rue Lord-Byron (8e) ELY. 83.50.

Był to jedyny gość, który odezwał się do ojca na wiosennym koktajlu.

– Pamiętasz jeszcze Tabéliona, Kasiu?

Tak, pamiętam owego tęgiego mężczyznę z wąsami, z szeroko rozchylonym kołnierzykiem koszuli i z paskiem z krokodylej skóry, człowieka, z którym mój ojciec rozmawiał w tajemniczym języku. Gdy wróciliśmy z Neuilly furgonetką Chevreau, tata powiedział mi:

– Jestem dozgonnie wdzięczny twojej przyjaciółce Odile, że nas zaprosiła. Odbylem długą rozmowę z pewnym panem, który nazywa się Tabélion... Dobrze sobie zapamiętaj to nazwisko, Kasiu... Tabélion...

Dzięki niemu moje interesy rozwiną się.

I od tej chwili często widywałam, jak dzwonił pod numer Elysées 83-50. Lecz nikt nie odbierał telefonu i tata, zawiedziony, odkładał słuchawkę. Albo też słyszałam, jak mówi:

– Czy mógłbym rozmawiać z panem René Tabélion? Mówi Georges Certitude... Acha... Nie ma go? Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił..

Tabélion nigdy nie zatelefonował. A mimo to tata pokładał w nim wielkie nadzieje, a jego wiara była niezwruszona.

Często powtarzał panu Chevreau:

– Rozumie pan, tacy ludzie, jak Tabélion, nie zadawają się fotelami z Constellation... Im potrzeba całych eskadr... Właśnie na tym polega różnica...

Pan Chevreau pytał z ironią w głosie:

– No i co tam z tym pana Tabélionem? Żadnych wieści?

Tata wzruszał ramionami.

– Pan nie byłby nawet w stanie zrozumieć człowieka pokroju Tabéliona.



Pewnego zimowego wieczoru, gdy ulicą de Maubeuge pieszo wracaliśmy z mojej lekcji tańca, tata powiedział mi:

– Kasiu, mój ojciec miał rację. Pewnego dnia przybył na Dworzec Północny i postanowił osiąść w tej dzielnicy. To on otworzył nasz magazyn przy ulicy d'Hauteville. Uważał, że trzeba zamieszkać w tej dzielnicy, gdyż jest to dzielnica dworców. I jeśli chciałoby się wyjechać, byłoby dużo praktyczniej... A gdybyśmy tak wyjechali, Katarzyno? Nie masz ochoty podróżować? Odkrywać nowych horyzontów?



Gdy ostatni raz szliśmy na lekcję tańca, tata powiedział:

– To zabawne, Kasiu... Swego czasu poznałem twoją nauczycielkę, Madame Dismajłową... Nie pamięta mnie, bo nie jestem już taki młody, jak wtedy... Ona też bardzo się zmieniła. Nie pracowałem w handlu całe życie... W tamtych czasach, Kasiu, byłem niczego sobie, całkiem przystojnym młodzieńcem i chcąc zarobić na drobne wydatki, statystowałem w Casino de Paris... Pewnego wieczoru poproszono mnie, żebym zastąpił jednego z *porteurs*... *Porteurs*, Kasienko, to ci, którzy noszą tancerki w rewii...

A tancerką, którą miałem nosić, była twoja mama... Wtedy jeszcze nie znaliśmy się... Wziąłem ją w ramiona, jak mi kazano... Wyszedłem z nią na scenę potykając się, bo byłem bez okularów... I łubudu!... Poleciałem na pysk... Upadliśmy oboje na deski... Twoja mama dostała ataku śmiechu... Trzeba było opuścić kurtynę... Uznała, że jestem bardzo sympatyczny... Właśnie w Casino de Paris poznałem również twoją nauczycielkę, Madame Dismajłową... Tańczyła w rewii...

Itata, jak gdyby się obawiał, że ktoś może nas śledzić i słyszeć naszą rozmowę, zwolnił kroku i pochylił się nade mną.

– No i, Kasieńko – powiedział bardzo cicho, nieomal szeptem – nie nazywała się wtedy Galina Dismajłowa, a po prostu Odette Marchal... I nie była Rosjanką, lecz pochodziła z Saint-Mandé, gdzie jej rodzice, bardzo porządni ludzie, prowadzili małą kafejkę-restaurację... Często nas tam z mamą zapraszała, gdy



w Casino de Paris nie było występów... To była
dobra koleżanka... Wcale nie miała rosyjskiego
akcentu, wcale, ale to wcale...



Tata usiadł
z matkami uczennic
na ławeczce obitej czerwonym
aksamitem i lekcja się rozpoczęła.

Słuchałam Madame Dismajłowej, która nazywała się Odette Marchal, jak z rosyjskim akcentem mówi:

– *Fondou... Tendou... Pas de cheval... Atti-tou-de... Ouvrrez seconde... Ferrmez cinquième...*

I bardzo pragnęłam poznać jej prawdziwy głos.

Lekcja tańca zakończyła się około siódmej wieczorem. Madame Dismajłowa powiedziała:

– Do widzenia, dzieci... do zobaczenia w przyszły czwarrtek...

Na schodach wyszeptałam:

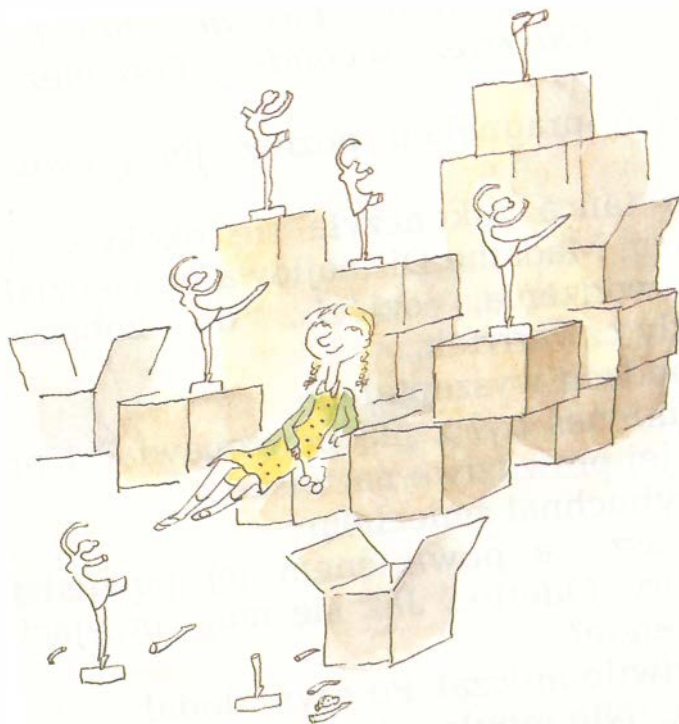
– Powinieneś być z nią porozmawiać i przypomnieć jej prawdziwe nazwisko...

Tata wybuchnął śmiechem.

– Uważasz, że powinienem jej powiedzieć: dzień dobry, Odette... Jak się mają przyjaciele z Saint-Mandé?

Przez chwilę milczał. Po czym dodał:

– O nie... Nie mogłem jej tego zrobić... Niech sobie marzy, ona i jej klientki...



Pewnego poranka jak zwykle poszłam przynieść pocztę i oddać ją tacie, gdyż zawsze pałam ciekawością, czy oboje dostaliśmy nasze dwa listy z Ameryki. List do taty był bardzo gruby, a do mnie mama napisała:

„Moja droga Katarzyno,

Myślę, że niebawem spotkamy się wszyscy troje. Całuję Cię bardzo czule.

Twoja mama”

Tata, przy swoim biurku, z wielką uwagą czytał list od mamy. W drodze do szkoły powiedział mi:

– Wieści z Ameryki są wspaniałe.

Tego samego dnia pan Casterade chciał nam odczytać jakiś poemat i słuchaliśmy go w biurze. Jego monotonny głos i ręka wybijająca rytm działały na mnie jak kołysanka. Powieki kleiły mi się do snu.

– ... „*W te jesienne wieczory w Castelnaudary...*”

Zdjęłam okulary i właśnie zapadałam w sen, gdy nieoczekiwanie tata mu przerwał:

– Raymondzie, przepraszam pana, ale jest wpół do ósmej, a ja zabieram moją córkę na kolację do restauracji Charlota, króla małży.

obrzucił nas pogardliwym spojrzeniem i wolnym ruchem zamknął swój tomik wierszy.

– Dziwny to świat – rzekł – dziwny to świat, w którym Charlot, król małży, jest ważniejszy od francuskiego poety. I w którym przedkłada się tuzin ostryg nad piękny aleksandryn. No cóż, życzę wam smacznego.

Tata odchrząknął. Następnie uroczystym tonem oświadczył:

– Raymondzie, muszę oznajmić panu coś bardzo ważnego. Moja córka i ja wyjeżdżamy do Ameryki.

Byłam tak zaskoczona tym, co powiedział mój ojciec, że natychmiast nałożyłam okulary, żeby sprawdzić, czy czasem nie śnię. Pan Casterade stał jak skamieniały przy drzwiach biura.

– Do Ameryki? Wyjeżdżacie do Ameryki?

– Tak, Raymondzie.

Pan Casterade opadł na obrotowy fotel stojący przy biurku.

– A ja? – spytał bezbarwnym głosem. – Czy pomyśleliście, co będzie ze mną?

– Pomyślałem o panu, Raymondzie. To bar-

dzo proste. Zostawiam panu magazyn. Pogadamy o tym spokojnie jutro.

Tata wziął mnie za rękę i wyszliśmy z magazynu, zostawiając pana Casterade, który siedząc za swoim biurkiem wciąż powtarzał bezwiednie i z niedowierzaniem:

– Do Ameryki... Do Ameryki... A za kogo oni się mają?

Zaprosiłem cię dziś wieczór do restauracji – powiedział mi tata – właśnie po to, żeby ci powiedzieć o tej podróży do Ameryki... Otóż tak, Katarzyno, jedziemy do Ameryki... Do Ameryki, gdzie odnajdziemy mamę...

Tata przywołał kelnera w restauracji Charlotta, króla małży, zamówił mi na deser melbę, a potem zapalił papierosa:

– Widzisz, Kasiu, gdy twoja mama powróciła do Ameryki trzy lata temu, było mi bardzo smutno, lecz ona chciała mieszkać tam, w swoim kraju... Przyrzekłem jej, że przeniesiemy się do niej tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, gdy tylko ureguluję wszystkie moje interesy handlowe tutaj we Francji... I oto wreszcie nadeszła ta chwila... Wszyscy troje spotkamy się w Ameryce... Zresztą twoja mama to przewidziała, gdy się poznaliśmy, na długo przed tym, nim przyszedł na świat, gdy była tancerką w zespole Miss Maekers... Powtarzała mi: Albercie – w tamtych czasach miałem na imię Albert – pobierzemy się, będziemy mieli córeczkę i będziemy mieszkać w Ameryce... Twoja mama miała rację... Ale to jeszcze nie powód, żebyś nie zjadła melby... Jedz, bo się rozpuści... Chcesz, żebym ci dał pierwszą lekcję angielskiego?

I tata, wyraźnie wymawiając sylaby, powiedział:

– Po angielsku melba to melba, tylko z innym akcentem... A lody to „ice-cream”...

Gdy wychodziliśmy z restauracji, było jeszcze widno. Było lato. Jeździły wtedy jeszcze autobusy z platformami, a na postoju na środku placu Clichy czekały czarno-czerwone taksówki G7. I był Gaumont Palace. I kasztanowce.

– A gdybyśmy tak wrócili na piechotę? – proponował tata. – Powietrze jest tak łagodne, że można by pójść przez wzgórze Montmartre...

Szliśmy ulicą Caulaincourt i tata położył mi dłoń na ramieniu.

– Kupię bilety okrętowe na przyszły miesiąc, Kasiu... Na nabrzeżu w Nowym Jorku będzie na nas czekała mama...

Myślałam o mamie. Byłam szczęśliwa, że znowu ją zobaczę po tych latach rozłąki.

– Tam, w Nowym Jorku, pójdziesz do szkoły, w której nauczysz się angielskiego.



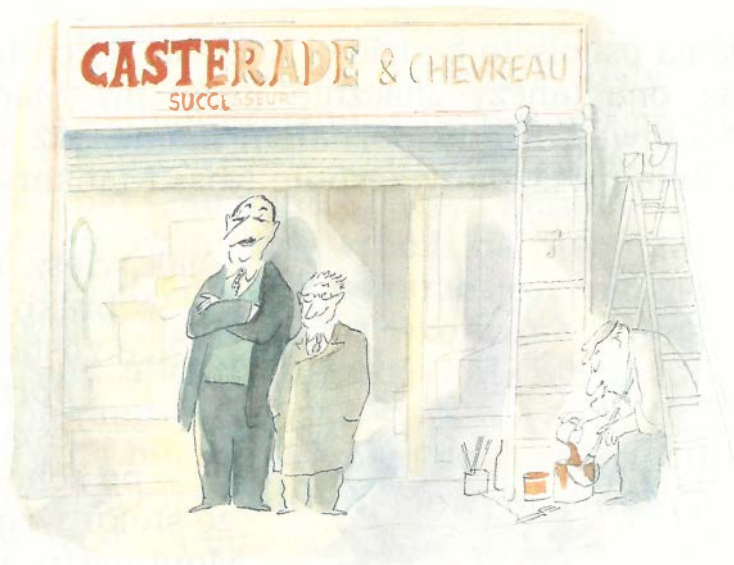
A mama osobiście będzie ci udzielać lekcji tańca. Wiesz, ona tańczy znacznie lepiej niż Madame Dismajłowa... Kiedy poznałem mamę, już wówczas była gwiazdą w zespole Miss Maekers...

A ja,
jak wiesz, mało
brakowało,
a zostałem
porteur...

Zeszliśmy
po schodach
ze stoku wzgórza
Montmartre i tata
uniósł mnie
w wyciągniętych
ramionach, i przeniósł
przez całą długość alei
Trudaine, jak to niegdyś
robił w Casino de Paris.

– Nie bój się, Kasiu
– powiedział mi. – Nie
upuszczę cię... Od ostatniego
razu poczyniłem postępy...





Przez cały następny tydzień tata, pan Casterade i pan Chevreau często naradzali się w magazynie. Widziałam, jak podpisywali ogromną ilość dokumentów. Pan Casterade mówił coraz bardziej władczym głosem:

– Niech pan tutaj podpisze, Chevreau... I pan, Georges, o tu... Proszę nie zapomnieć formułki: „Akceptuję”...

Pewnego wieczoru, gdy wychodzili z magazynu, a tata został jeszcze w biurze, słyszałam, jak pan Casterade mówi do pana Chevreau:

– A w przyszłości chcę, żeby wszystko odbywało się jawnie... Żadnych niejasności... Bez podejrzanych kombinacji... Absolutna legalność... Zrozumiał pan, Chevreau? Od chwili, gdy zakład działa pod naszym szyldem, należy działać zgodnie z prawem...

– To się samo przez się rozumie.

I pan Chevreau pokiwał głową, jak gdyby czegoś żałował.

Tata przyszedł jak zwykle po mnie do szkoły i ulicą d'Hauteville wróciliśmy do domu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu jakiś robotnik stojąc na drabinie kończył malowanie szyldu nad magazynem. Nie było już granatowego napisu: „CASTERADE & CERTITUDE – Eksp.–Tran.”, lecz „CASTERADE & CHEVREAU, sukcesor”. Czerwone litery nazwiska CASTERADE lśniły w słońcu i przesłaniały małe literki w nazwisku Chevreau. Przed drzwiami magazynu stał bar-

dzo wyprostowany pan Casterade z założonymi rękami i zadowoloną miną właściciela.

– Mógł trochę poczekać – rzekł tata. – To tak, jakby nas już nie było...

Pan Casterade chciał nas zabrać na pożegnalną kolację do restauracji „Pikardia” przy ulicy Chabrol. Obecny był Chevreau. Na początku posiłku pan Casterade wstał, trzymając kartkę w dłoni. Był to wiersz, który napisał dla uczczenia naszego wyjazdu.

*„Na pokładzie okrętu, co New York przybliża,
Zachowajcie w pamięci przyjaciół z Paryża.*

*Choć Manhattan jest piękny, a Broadway jak
ze snu
Jednak w parku Montsouris najpiękniej we
wrześniu...”*

Nagrodziliśmy go oklaskami, tata, pan Chevreau i ja. Byłam bardzo wzruszona. Pierwszy

raz w moim życiu, wysłuchałam do końca wiersza pana Casterade. Nie zdjęłam okularów.

Po kolacji poszliśmy, tata i ja, w kierunku kościoła Saint-Vincent-de-Paul. Usiedliśmy na ławce przy skwerze.

– Zobaczysz, Kasiu... W Ameryce będziemy żyć szczęśliwie...

Zapalił papierosa, odrzucił głowę do tyłu i wypuścił kółko dymu.

– Niedługo będziemy w Nowym Świecie... The New World... Ale, jak mówi Casterade, nie należy zapominać Francji...

Wówczas nie zwróciłam większej uwagi na to stwierdzenie.

Dopiero dzisiaj, po tylu latach, wydaje mi się, że słyszę je wyraźnie, jak gdybym była jeszcze dzieckiem w tamto popołudnie na skwerze Saint-Vincent-de-Paul.

Często myślę o mojej szkole przy ulicy des Petits-Hôtels, o skwerze, na którym bawiłam się w kurzu letnich popołudni, o naszym magazynie i o wadze, na której ważyliśmy się, tata i ja. Myślę o panu Casterade, który czytał nam

swoje utwory. A także o Madame Dismajłowej, której prawdziwego głosu nigdy nie usłyszałam.

Nigdy się nie zmieniamy, jesteśmy tacy sami, zaś ci, którymi byliśmy w przeszłości, żyją sobie nadal aż po wieczne czasy. Tak więc zawsze pewna dziewczynka, Katarzyna Certitude, przechadzać się będzie ze swoim tatą ulicami X dzielnicy Paryża.

Wczorajszej niedzieli razem z córką odwiedziłam rodziców w Greenwich Village. Nadal ze sobą mieszkają, chociaż mama często grozi, że odejdzie, bo ma dość „kombinacji” taty – jak mówi ze swoim amerykańskim akcentem. Mr Smith, nowy wspólnik taty, tak samo drobiazgowy i pedantyczny jak pan Casterade, w zupełności podziela zdanie mamy.

Wysiadliśmy z taksówki przed wysokim budynkiem z cegły, w którym mieszkają rodzice. Tam, wysoko, w jednym z okien ich mieszkania dostrzegłam sylwetkę taty. Zdawało mi się, że wiąże krawat. Może powtarzał sobie:

– Świat nie jest taki zły.





Mała Katarzyna o dziwnym nazwisku Certitude nosi okulary tak jak jej tata. Czasami okulary komplikują życie, na przykład trzeba je zdejmować na lekcjach tańca klasycznego.

A Katarzyna marzy o tym, by zostać baletnicą jak jej mama, która mieszka w Nowym Jorku. Na szczęście dziewczynka szybko odkrywa, że okulary mają też pewną zaletę, gdyż pozwalają jej żyć w dwóch różnych światach: w świecie realnym, jaki widzi, gdy je nosi, zaś gdy je zdejmie — w łagodnym, zamglonym, pozbawionym ostrości świecie, w którym tańczy jak we śnie...

PATRICK MODIANO, urodzony w 1945 roku jest jednym z najbardziej utalentowanych pisarzy swego pokolenia. W Polsce ukazały się dotychczas dwie jego książki: wyróżniona w 1978 r. Nagrodą Goncourtów „Ulica ciemnych sklepików” i „Nawroty nocy”. Z wielkim mistrzostwem i dokładnością potrafi wskrzesić atmosferę i szczegóły miejsc i przeszłych epok.

JEAN-JACQUES SEMPÉ, urodzony w 1932 roku, rysunkiem humorystycznym zajmuje się od 17 roku życia i stale współpracuje z licznymi pismami (Paris Match, Punch, l'Express, a od kilku lat również New Yorker i New York Times). Opublikował też wiele albumów-zbiorów swych rysunków. Największą sławę przyniosły mu zapewne ilustracje do książek Rene Gosciniego, nieśmiertelnego autora przygód Mikołajka.



WYDAWNICTWO TENTEN